

461

I. F R A N K O

**Dobry
ZAROBEK**

361 φ

06
I. FRANKO

DOBRY ZAROBEK



Państwowe Wyd—wo Mniejszości Narodowościowych USRR
Kijów — 1935

Львівська
Державна
Бібліотека

310724

891.79-32

3 нр.

48/90



Redaktor odpowiedz.—S. Grand.
 Redaktor technicz.—Z. Wortman.
 Korekta—B. Alter. Papier 72×110
 $\frac{1}{32}$ —60 kg. $\frac{1}{2}$ ark. druk. 1 ark.
 pap. 10 000 znak. Wyd. № П—8
 2-ga Międzynarodowa drukarnia
 UPT, Kijów, plac Czerwony 2a.
 Obst. № 1085. Pełnom. gołowlitu
 № 5033. Nakład 1 500 egz.
 Oddano do składania 31/X—34.
 Podpisano do druku 29/XII—34.



IV
 D-68
 1936/

Jestem człowiek biedny. Gruntu nie mam ani odrobiny, jeno jedną chatę, i ta już stara. A tu żona, dziątek dwoje, gdyby chociaż zdrowe. Trzeba z czegoś żyć, trzeba jakoś trzymać się na świecie. Mam dwóch chłopców—jeden ma lat czternaście, drugi—dwanaście. Pastuchują obydwu „dobrych“ ludzi i mają za to jedzenie i jaką-taką odzież. A żona przedzie—też coś-niecoś zarobi. No, a ja stary jaki mam zarobek? Ot, pójdę kiedy-niekiedy do pobliskich wyrębów, ponacinam gałązek brzeziny i miotły wiązę cały tydzień. A w poniedziałek bierzemy z żoną po wiązance na plecy i na targ do Drohobycza. Niewielki z tego zarobek, po trzy—cztery grajcarey za miotłę, a panu zapłacić za gałązki—mało co zostanie.

Ale cóż robić, trzeba zarabiać, trzeba jakoś sobie radzić.

I co to za życie! Kartofle i barszcz, a czasem kasza jaka i chleb, jaki się zdarzy: żytni to żytni, a jęczmienny albo owsiany, to i za to dzięki. W lecie pół biedy. Człowiek coś-niecoś zarobi u bogatszego: tu na pasiece rojów dopilnuje, tam w sadzie przenocuje przy sianie, przy snopach popracuje. Wreszcie pójdzie do rzeki, chwytką rybę jaką złapie albo o wschodzie grzybów jakich z lasu przyniesie. Ale już w zimie tego wszystkiego niema. Co od ludzi za robotę otrzymamy, z tego żyjemy, nieraz i z głodu puchniemy. Zwykle jak to biedni chałupnicy.

Ale, widzicie, znalazł się jeszcze dobry człowiek, co naszym dostatkom zazdrościł. Niby to za dużo, dziadu, masz dostatku, utyjesz zanadto, rozhulasz się. Więc masz. I tak mi się przysłużył, że zapomnieć trudno.

Posłuchajcie—jak to było.

Idę sobie raz przez miasto. Miotły związane do kupy niosę na kiju na plecach. Idę, rozglądam się dokoła, czy nie kiwnie kto na mnie albo czy nie zawoła kto: „Człowieku, człowieku, a po czemu miotły“? A tu ludzi dokoła—zwyczajnie jak na targu. Spoglądam więc dokoła, patrzę, idzie za mną jakiś panek—garbaty, głowa, jak u sowy, a oczy miał szare i niedobre, jak u żaby. Idzie i wciąż na mnie spogląda. Przystanąłem, myślę, może czego chce, a on nic, też przystanął i w inną patrzy stronę, niby to jego nic nie obchodzi. Idę dalej—on znowuż za mną. Mnie jakoś niedobrze się zrobiło. Zgiń, maro, myślę—cóż to takiego?

A i tu kobieta woła:—Człowieku, człowieku, po czemu miotły?

— Po pięć,—mówię.

— Nie po pięć, weźcie po trzy.

— Dawaj cztery.

— Nie, trzy.

— Nie, cztery.

Stargowaliśmy się na trzy i pół grajcara¹⁾. Zrzuciłem wiązanek z pleców, rozwiązuję sobie spokojnie, daję kobiecie miotłę, aż tu garbus za mną.

— Po czemu miotły sprzedajecie? — pyta mnie.

— Po pięć grajcarów, panie, kupcie, — mówię, — miotły dobre.

On wziął jedną, popróbowował.

— Tak, tak, — mówi, — niema co, dobra. A wy skąd?

— Z Monastyrca.

— Tak, tak, z Monastyrca. A często miotły sprzedajecie?

— Nie, nie często. Może raz na tydzień, w poniedziałek.

— Tak, tak, co poniedziałek. A dużo co poniedziałek sprzedajecie?

¹⁾ Dawna moneta austriacka.

— Jak się trafi, panie. Czasem z żoną sprzedamy wszystko, co wyniesiemy, a czasem nic nie sprzedamy.

— Hm, więc wy z żoną. Oboje, znaczy się, po takiej wiaźce wynosicie?

— Tak, proszę pana, czasem po takiej, czasem po większej nawet.

— Tak, tak, a dużo takich mioteł możecie zrobić w ciągu tygodnia?

— Zależy, proszę pana, ile potrzeba. W lecie sprzedaje się mniej, więc mniej robię. A na jesieni i zimą więcej rozchodzi się tego towaru.

— Tak, tak, rozumie się. Widzicie, ja jestem dostawcą cesarskich magazynów. Trzebaby mi było dużo takich mioteł, może sto. Czy moglibyście do przyszłego tygodnia zrobić mi sto mioteł?

Pomiarkowałem trochę i mówię:

— Czemu nie, zrobię. A dokąd każe pan przynieść?

— Ot tutaj,—powiada pan i wskazał na jakiś budynek.—Ale pamiętajcie, przynieście. Natychmiast zapłacę. A po czemu, mówicie, będziecie liczyli?

— Jeżeli pan tyle odrazu bierze, policzę taniej, po cztery.

— Nie, nie, poco taniej. Zapłacę nawet po pięć.

— Daj boże zdrowia, panoczku.

— Bywajcie, bywajcie, ale pamiętajcie, za tydzień przychodźcie.

Po tych słowach panek pokulał sobie dalej, a ja zostałem. Oto — myślę — jaki dobry pan—nawet zniżki nie żądał, a na taką sumę obstalował mioteł. Przecież to całą piątkę się zarobi. A ja źle o nim myślałem, kiedy szedł za mną krok w krok. No, niech żyje długie lata. Chociaż raz mi się trafił dobry zarobek.

Rzuciłem się szukać swej starej.

Rozsprzedaliśmy swój towar, a może nie rozsprzedaliśmy, kupiliśmy sobie zapa-

łek i co jeszcze było potrzebne. Mówię ja starej, tak i tak, trafił się zarobek dobry, będzie czem i podatek zapłacić i dla niej jeszcze na zimę przyszwę będą. I ona też się ucieszyła.

— Weźmiemy się, — mówi, — oboje do roboty, bo sam w ciągu tygodnia nie zrobisz. Ja wszystko swoje odłożę.

— Dobrze. — Tak rozmawiając, śpieszyliśmy prawie biegiem do domu, żeby, widzicie, czasu nie tracić.

Tegoż samego dnia zabraliśmy się do roboty, jak do gorącego barszczu.

Prętów nanieśliśmy całą stertę — fabryka w chacie. Ja gałązki obłamuję, ona z liści oczyszcza, aż jej skóra z dłoni pozłaziła. A ja potem grubsze końce obcinam, składam, wiążę, strugam kije, robota wre. Zbliża się niedziela, cała setka mjetel gotowa, w wiązki po dwadzieścia pięć związana. Tak już przystosowaliśmy się, że każda z nas bierze po dwie takie

wiązki przez ramię: przez ramię idzie sznurek, jedna wiązka zwisa na piersiach, druga — na plecach. W poniedziałek wzięliśmy do rąk po dobrym drągu, zarzuciliśmy wiązki i hajda do miasta. Upał taki, że uchowaj boże. Pot z nas ciurkiem się leje, w gardle wyschło, ale trudna rada. Gdy zarobek, to zarobek.

Przychodzimy do miasta; wszyscy oczy na nas wytrzeszczyli, nie widzieli jeszcze, żeby kto kiedy tak wielkie miał wiązki.

— Słuchajcie, człowiecze, — śmieją się z nas, — gdzie wyście konie sprzedali, że sami wóz gałęzi dźwigacie?

— Człowiecze, człowiecze, — krzyczą inni, — u kogoście brzozowy gaj kupili? Czy to na sprzedaż przynieśliście do miasta z babą lasek? Ile chcecie za brzozowy gaj?

A my nic. Ledwie dyszymy, ale idziemy, aż oczy ze łba wyłazą. Doleźliśmy jakoś ci do domu, gdzie pan kazał czekać.

Przyszliśmy przed ganek i pluch o ziemię wiążkami, sami ledwie żywi opadliśmy na nie i odsapujemy się tak, że języki powywieszaliśmy. Niema, niema, aż naraz okno—skrzyp-skrzyp, nasze panisko.

— Aha,—mówi,—to wy, człowieczku?

— Tak, proszę pana, to ja z miotłami.

— Dobrze, dobrze, zaraz do was wyjdę.

Zamknął okno. Czekamy. Po jakimś czasie wyszedł.

— No i cóż, przynieśliście miotły?

— Tak, proszę pana, sto, jak pan kazał.

— Aha, aha, dobrze. Ale wiecie, że mi teraz nie są potrzebne. Zabierzcie je sobie, niech u was pobędą jeszcze czas jakiś, albo możecie je sprzedać... A gdy mi będą potrzebne, dam wam znać. A teraz macie ten oto kwitek, pokażcie go wójtowi, on już wam powie, co macie robić.

— Ba, ależ,—powiadam,—przecież pan obstałował, a teraz nie biorą?

— Nie, nie biorę,—odpowiada grzecz-

niutko, — bo mi teraz niepotrzebne. Ale nie bójcie się, ja o was nie zapomnę. Oto macie ten kwitek, trzymajcie.

— Na co mi pański kwitek? Co z nim zrobię?

— Bierzcie, bierzcie, — mówi. — A zresztą, jeśli nie chcecie, to jak chcecie. A teraz idźcie sobie.

Prawdę powiedziawszy, chciałem postawić się hardo, ale on się odwrócił i wszedł znowu do chaty. Pozostaliśmy, jakby wodą oblani. A dalej cóż robić? Zabraliśmy miotły i poszli na targ, żeby chociaż cokolwiek wysprzedać.

Aż to może po tygodniu wzywa mnie wójt. Co za nieszczęście? myślę sobie. Przychodzę, a wójt śmieje się i mówi:

— No, dziadku Pańko, — wszyscy mnie nazywają dziadkiem, chociaż nie takim jeszcze stary, — masz dobrą nowinę.

— Jaką nowinę, — mówię i dziwię się.

— A oto jaką, patrz,—i dostał papier, ten sam, który mi ten pan niedawno dawał, rozwinął go i zaczął czytać coś takiego, czego nie zrozumiałem, oprócz własnego nazwiska.

— Ba, a co tu jest powiedziane?—pytam.

— Powiedziane, dziadku, żeś ty wielki bogacz, po sto mioteł co tydzień sprzedajesz, pieniądze zgarniasz łopata, i kazano postawić ci tę oto pijawkę.

— Jaką pijawkę?—pytam, uszom swoim nie wierząc.

— Papierek, nieboraku.

— Papierek? Ba... a. Jaki papierek? Dla kogo?

— Ej, dziadku, nie udawaj głuchego, gdy uszy masz zdrowe. Przecież nie dla mnie, a dla ciebie. Masz płacić oprócz podymnego jeszcze piętnaście reńskich¹⁾ na rok podatku dochodowego.

¹⁾ Dawna moneta austriacka.

— Piętnaście reńskich na rok. A to za co?

— Za miotły. Słyszysz przecie, że pan komisarz pisze, jakoby po sto mioteł co tydzień sprzedajesz.

Oślupiałem, jak ten—powiadają—święty Szczepan, co pięćdziesiąt lat na jednym miejscu stał słupem. Tak, jakbym się czemerycy najadł.

— Panie wójcie, —mówię po namyśle,— ja nie będę płacił.

— Musisz!

— Nie, za nic nie będę. Co mi zrobicie? Co goły za pazuchę schowa? Wiecie przecież, że na miotłach przez cały rok ledwie piętnaście reńskich zarobię.

— Co mam wiedzieć? Pan komisarz musi lepiej wiedzieć, —mówi wójt. Moja rzecz ściągnąć podatek, a nie chcecie dobrowolnie, egzekutora przysłać.

— Proszę, przysyłajcie choć zaraz.

Egzekutor zdechnie u mnie wpierw, nim co znajdzie.

— No, to chatę sprzedamy i grzędy, a was na cztery wiatry. Cesarskie nie powinno przepaść!

Jęknąłem, jak podcięty.

— A widzisz,—mówi wójt.—Więc co, będziesz płacił?

— Będę,—mówię, a sam co innego myślę.

Minęły trzy lata, nie płaciłem ani grajcara. Kiedy przychodzili egzekutorzy, my z babą chowaliśmy się w krzaki, niby przed Tatarami, a chatę zamykaliśmy. To ci egzekutorzy przyjdą, postukają, zawołają raz — drugi i pójdą sobie dalej. Dwa razy chcieli wejść siłą do chaty, lecz obydwa razy dobrzy ludzie ujeli się za nami. Na czwarty jednak rok urwało się. Ni prośby, ni lamenie nie pomogły. Nabierało się coś grzywny jeszcze ze sześćdziesiąt reńskich. Kazali z miasta zaraz

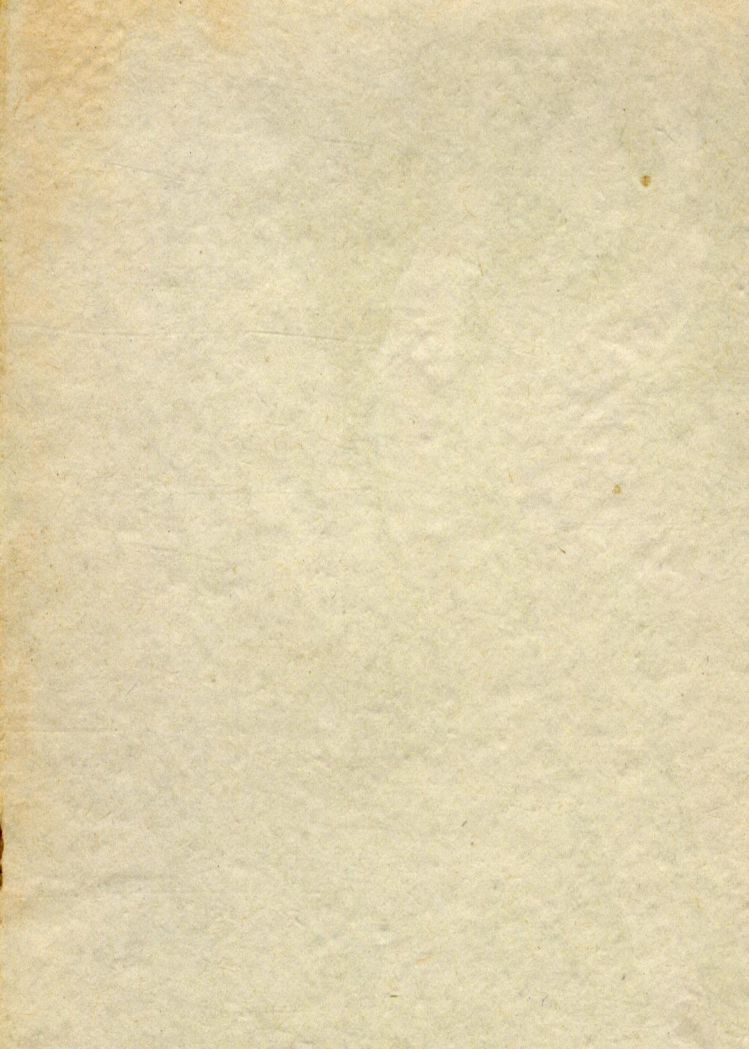
mi pieniądze wyłożyć, a jeżeli nie, to chatę wystawią na sprzedaż. Nigdzie już nie naciskałem, widzę, że nic nie pomoże. No i co? Naznaczyli licytację. Ocenili wszystek mój dobytek na okrągłych sześćdziesiąt reńskich. Przychodzą tego dnia, krzyczą, bębnią, wołają kupców... „Kto więcej“? Ale kiedyż nikt i tyle nie daje. Dziesięć, dwanaście... ledwie do piętnastu reńskich dociągnęli i za te pieniądze chatę sprzedali. A ja się śmieję i mówię do wójta:

— A widzicie, jednak oszukałem was, czyż nie mówiłem, że goły rozboju się nie boi.

— Niech cię, dziadku, diabli wezmą, jakich sposobów się chwytasz.

Nuszą chatę kupił handlarz bydłem na chlew dla cieląt, a myśmy z babą, jak widzicie, poszli do cudzej chaty. Znow żyjemy po staremu. Ona przedzie, chłopcy pasą cudze bydło, a ja miotły robię i tak jakoś dajemy sobie powoli radę, przynajmniej nie płacimy podatku.





Оправа 35 коп. ЦІНА 20 КОП.

І. ФРАНКО

ДОБРИЙ ЗАРОБОК

31.850

F $\frac{IV}{D-68}$ 1935

461
I. F R A N K O

DOBRY
ZAROBOK